



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POWIEDZ MI!...

Powiedz mi czemu, w tej długiej drodze,
Która się życiem ludzkim nazywa—
Jednym się serca kaleczą srodze,
A drugim świeci gwiazda szczęśliwa?
Czemu wśród piękna, co nas otacza,
Ludzie swe czoła plamą i brudzą!
Jedni pracować muszą mozolnie,
Drudzy wśród zabaw wiecznie się nudzą?
I czemu jedni mają za wiele,
A drudzy z głodu—pragnienia mrą?
Jedni z uśmiechem przejdą do końca
Inni zaś żyją z wieczną w oku łzą?

Powiedz mi czemu, wśród bogactw wielu,
Prawdy i wiary—piękna—miłości—
Są tacy biedni nędzarze ducha,
Którzy nie wierzą w życie przyszłości.
Z ludzkich się uczuć śmieją szyderczo,
Cnoty nie znają nawet z imienia.
Na czołe szpetne piętno cynizmu,
Wpiersi miast serca—kawał kamienia.
I trują drugich trucizny jadem,
I depcą wielkie życia ideały...

Są dysharmonią, fałszem i złością,
Gdy wzorem piękna jest ten świat cały?

Powiedz mi czemu wśród blasku słońca
I światła złotych milionów gwiazd
Ciemno tu przecieź!—i myśli ludzkie
Są jak zbłąkane ptaszki—bez gniazd
Ani nie wiedzą co to żyć znaczy,
Ani poznają co zło lub cnota.
Idą bez celu—w przepaście lecą,
Chociaż przyświeca pochodnia złota.
Choć tyle prawdy—doświadczeń—uroku
Wspaniałym blaskiem prowadzi nas — —
Przecieź błądzimy, więc powiedz kiedy
Dla dusz jaśniejszy nadpłynie czas?

Powiedz mi kiedy wszędzie ta chwila,
W której się ludzkość wzniesie wysoko—
Wszystko co podłe—nizkie—zbrukane
Odrąci z wzgardą w przepaść głęboką
Cnoty nie sprzeda za wagę złota,
Czoła nie splami podłą chytrąścią—
Biednych nie zdepcze z pyszną pogardą
Łez nie wycisnie z mroźną litością.
Powiedz mi kiedy te wielkie szeregi
Ludzi śpieszących gościńcem życia
Będą mieć serca bratnie—szlachetne—
Które nie pragną tylko użycia.

Lecz patrząc w niebo szukają słońca,
Lecz krzyż dźwigając wierzą w zbawienie
Wiedzą że wieczność nie znajdzie końca,
A w niej jest ducha trwale istnienie,
Powiedz mi kiedy będzie inaczej,
Bym do tej doby, tęskniąc serdecznie
Liczyła chwile—miesiące, lata
I szła mem życiem ciągle—ach! wiecznie!

Jadwiga z Z. S.

Florencya Nightingale.

Dobro jest to piękno ducha i wszystko co w wśród życia pięknem być pragnie, dobrem być potrzebuje, bo dobro rozjaśnia w koło nas horyzonty życia a piękno idei ludzkości to miłość bliźniego, ofiarniczość ta, która zapomina o sobie i żyje tem, co dla drugich czynić pragnie i czyni. Czeimy też w ludziach takich wzniosłego ich ducha, składamy im cześć wdzięczną za to, że nas podnoszą przykładem swoim nad życie poziome, zaspakajając potrzeby nasze materialne i wtedy to uczucie, które staje się w stosunkach naszych do ludzi miłością bliźniego, wytwarza w koło nas tę aureolę świetlaną, którą zowiemy uznaniem zasługi.

Nietylko wielki talent, nietylko rozgłośnie czyny mężstwa i odwagi dają ludziom prawo do czei ogółu, wszelka szlachetna praca dla ludzkości, podjęta z miłości bliźnich, czei tej wymaga i oto akt jej oddanym będzie zasłużonej na tem polu siostrze miłosierdzia, choć szata zakonna jej nie okrywa, miss

Florencji Nightingale, która z daleka od gwarne-
ruchu świata, na uboczu wśród kochających ją kre-
wnych i umiających szanować ją przyjaciół żyje,
a którą naród jej chce obecnie uczyć wykuciem jej
popiersia w marmurze, aby świadczyło w przysz-
łości o jej zasługach i szacunku wdzięcznym, jakim
jest otoczona. Jest ona córką zamożnego rodu
szlacheckiego, rodzice jej zamieszkiwali w dzie-
dzicznych dobrach swoich w hrabstwie Derbyshire,
ona przeciw urodziła się we Florency, gdzie ro-
dzice jej chwilowo bawili i imię, jakie nosi z tej przy-
czyny, nadaniem jej zostało. Przecież dzieciństwo
jej i młodość cała upłynęła na wsi, a matka jej
córka szlachetnego filantropa, Wiliama Smitha,
amerykanina, który był jednym z najgorętszych
działaczy w sprawie zniesienia niewolnictwa, prze-
jęta szlachetną ideą równości wszystkich ludzi i mi-
łości ich bratniej, wychowywała też córkę w poję-
ciach tych i uczuciach, a ziarno szlachetnego po-
siewu padło na rolę dobrą i Florencia dzieckiem
już zaczęła nie tylko okazywać tkiwość wielką na
cierpienie bliźnich, ale pragnęła też wspomagać ich
i ratować w upadku nie samym tylko groszem jał-
mużny, lecz i staraniem o podnoszenie im ducha
w piersi, uszlachetnienie ich istoty moralnej.

Podróże, odbywane z rodzicami, dawały jej mo-
żność szerszego poznania świata i ludzi, stosunków
społecznych. Zwiedzając Włochy, Niemcy, Fran-
cję, Wschód, badała wszędzie działalność filantro-
pijną, jej metody; czytała wszystko, co w tym kie-
runku pisali ludzie szlachetni i młodość tej boga-
tej, wszystkimi powabami życia otoczonej dziew-
icy, była przygotowywana do poważnego do ofiar-
niczego pędzonego życia siostry miłosierdzia, choć nie
oddziewała jej szata zakonna. Po śmierci rodziców
oddawała się już w zupełności tym zadaniom miłości
bliźniego, uczyła się systematycznie pielęgnować
chorych, najpierw w Paryżu od tamtejszych siostr
miłosierdzia, następnie w 1849 r. przebywała z tym
samym celem w zakładzie kształcącym dyakonice
w Kaiserswerth nad Renem, w 1850 napisała i wy-
dała broszurkę jaką tam jest metoda przygotowy-
wania ich do tej świętobliwej służby miłości bli-
źniego. Wkrótce potem objęła w Londynie stano-
wisko przełożonej w domu zdrowia dla nauczycie-
lek, a zarząd jej był tu tak rozumny i szlachetny,
że w krótkim bardzo czasie uznano zakład za wzor-
owy i królowa Wiktoria napisała do niej list wła-
sno-ręczny, mieszczący wyrazy wdzięcznego uzna-
nia.

Wybuch wojny stał się chwilą ważną w jej ży-
ciu, bo teraz występuje tu nie tylko tkiwego serca,
obowiązkowi poświęcona kobieta, ale bohaterka,
Szpitale wojskowe były źle urządzone, a tu obok
pieczy nad rannymi, trzeba było ratować setki
żołnierzy, zapadających na gorączkę tyfoidalną
i minister wojny, Sidney Herbert, zwrócił
się do niej o radę, co robić? — Ozwał się do sere
kobiet angielskich... brzmiała jej odpowiedź
i odważna, przez uczucie miłości bliźniego sil-
na, postanawia udać się tam gdzie rodacy jej
cierpią, przemawia do kobiet angielskich, że tam
jest ich obowiązek i wkrótce 38 kobiet grupuje się
w koło bohaterki, jak ją nazwać trzeba, puszczają
się śmiało na morze, choć to był czas burz, ostrych
wichrów północnych i po czterdziestu dniach po-
dróży grono szlachetnych tych niewiast wylądowa-
ło w d. 5 listopada 1854 r., w Skutari.

Rząd angielski zwierzył jej tu zarząd a nie tylko
pracowicie, ale rozumnie spełniać go umiała. Dzień
i noc na nogach zaprowadza nie tylko zasadnie po-
myślany porządek służbowy między podwładnymi
jej kobietami, ale urządzenie lazaretów staje się
wzorowym, a ona poświęcając się ofiarniczo zdaje się
nigdy nie spać, nigdy nie odpoczywać, zawsze łag-
odna, w troskliwości swej nie opuszczająca się
ani na chwilę i *Times* nazywa ją też aniołem zbaw-
czym armii angielskiej. W nocy, gdy wszystko
już ułożyło się do spoczynku, ona sama jedna z ma-
łym stożkiem w ręku obchodzi sale rannych, sale
gorączką pożeranych żołnierzy i zatrzymuje się tyl-
ko gdy usłyszy jęk; podaje napój chłodzący spr-
gnionym, pokrzepia słodkimi słowy zboliałych i ni-
gdy nie zdaje się strudzoną, skarga żadna z ust jej
się nie wyrzywa.

Z tkiwością kobiety łączy mężką wytrwałość
i wlewa w serca pomocnic swoich ducha, który ją
ożywia, śmiertelność też się zmniejsza, lecz siły jej

się wyczerpują, tyfus z nóg ją zwała, a ciężkim był
bardzo, bo organizm zmęczony odpornym już być
nie mógł. Gdy przecież wraca do zdrowia, staje
zaraz do ofiarniczej swej czynności i przez trzy
kwartały nie opuszcza stanowiska obowiązku pod-
jętego, aż wyczerpana i bezsilna ledwo na no-
gach utrzymać się mogąca, wraca do Anglii, do
Londynu dnia 8-go września, lecz choroba na
którą od dawna już cierpiała, teraz daje jej się od-
czuwać coraz silniej, otacza ją też cześć i miłość
całego narodu. Wdzięczni ziomkowie pragną, aby
życie jej mogło być o ile można otoczone wygodą
i przyjemnością, składka dobrowolna na ten cel
przyniosła ogromną sumę 50,000 funtów szterlin-
gów, którą ona obraca na zakłady użytku publiczne-
go. Nie naruszając kapitału dochodem z procentu
rozszerza szpital S-go Tomasza i mieści w jednym
jego skrzydle instytut pilnowaczek chorych, a nie-
tylko pieniądź zostaje tu danym. Píše dzieło
wielce pożyteczne „Uwagi o pielęgnowaniu cho-
rych“ (Notes of nursing), a rzecz okazuje się tak
pożyteczną, że przedruki czynią się w różnych ko-
loniach Anglii, oraz w Ameryce, a w Niemczech
ukazuje się przekład, mający obecnie już dwa wy-
dania.

Ale siły jej wyczerpują się, wiek i praca złożyły
się na to i usuwa się w cichą ustron jednego
z przedmieść Londynu, lecz nie zostaje zapomniana.
W rocznicę ważnej chwili w jej życiu, przy-
bycia do Skutari, deputacja złożona z kobiet i męż-
czyzn przybywa do niej corocznie, składając jej
wyrazy wdzięcznego uznania, że zaś wiadomem jest
jej wielkie ulubienie kwiatów, otrzymuje ich zawsze
w ten dzień ilość znaczną i wdzięcznie za nie dzięki-
jąc, czuje się słodko zadowolona, a życie jej cicho
i spokojnie dobiega kresu swego.

M. I.

K E D Y D R O G A ?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

VI.

Hrabia Brunon zjawił się w Zarzeczu prędzej, ni-
żeli przypuszczano. P. Klemens powitał go z rado-
ścią, panny ciekawie, p. Helena z trwogą i chło-
dem, którego nie starała się ukrywać.

Hrabia Brunon zapisał jej się w pamięci od owe-
go czasu, kiedy ośmielał się wdychać do niej i miod-
dowe szeptać słówka. Widziała wprawdzie, że w sa-
lonach flirt jest rzeczą ogólnie tolerowaną i zaszcze-
pioną jakoby na zupełnie właściwym gruncie, poję-
cia jej atoli o szacunku należnym kobiecie w ogóle,
a matce i żonie w szczególności, oburzały się prze-
ciwko temu i wiele gorzkich nasuwały myśli.

— Śmieszna jesteś ze swoją pruderyą, duszko. —
mawiał często p. Klemens. — Wszak i dla nas męż-
ców przyjemniej jest widzieć, że to, cośmy wybrali,
sprawia innym oskomie.

P. Helena spoglądała wtedy na męża z takim wy-
razem, że wzrok swój kierował szybko ku wypiesz-
czonym rękom i starannie wyskrobane dłótkiem
paznogie oglądała.

Hrabia Brunon posiadał wszystkie zalety elegan-
ckiego światowca, znał sposoby zapisywania się
choćby w najskrytszych i najszlachetniejszych ser-
cach niewieścich.

Był przytem bardzo przystojny.

W obec pozorów uciwłego człowieka, nie jedno
młode dziewczę złapać się mogło, a potem gorzko
zawód okupić.

Troskliwa matka pragnęła od wszelkiej moralnej
brzydoty lub pokusy jak najdalej córki swoje usu-
nać. Porównyując ich usposobienia, spokojną by-

ła c Amelkę, lecz o Janinę trwożyła się niesty-
chanie.

Brunon poznał się z Krasnohorskim zagranicą,
kto wie, czy nie w Monaco, gdzie obadwaj próbowali
szczęścia. Bruno 5,000 pożytył od p. Klemensa,
uszcześliwionego poufałością hrabiego i możliwością
uczynienia mu przysługi. Wstęp do tak zwanego
„wyższego towarzystwa“ został otwarty; hrabia
przez wdzięczność rekomendował Krasnohorskiego
przyjaciółom, stąd i znajomość z księciem Rafałem
się wywiązała.

Krasnohorsey siedzieli właśnie przy śniadaniu,
gdy lokaj przybycie gościa oznajmił.

— Bądź też uprzejmą dla niego, Heleniu... — pro-
sił pan Klemens. — I Amelka już twoją sztywność
przejęła!

— Będę grzeczną o tyle, o ile dobre wychowa-
nie wymaga, — odparła stanowczo p. Helena. — Spra-
wiłeś mi prawdziwą przykrość, Klemensie, zaprasza-
jąc hrabiego... Znasz chyba dostatecznie jego cha-
rakter lekkomyślny i powiem ci, że matki, mające
córki, strzedz się powinny takich gości w domu...

Czarne oczy Jani rozbłysły ciekawością.

— Dla czego, mateczko? — spytała. — Czy hrabia
jest niebezpieczny? Ach, jak to dobrze! Nie
znam dotąd niebezpiecznego mężczyzny. Wszys-
cy nasi sąsiedzi to albo lalki wymuskane, albo na
wskroś gospodarze i czuć ich gorzelnią...

— Brawo, dziewczeczko! — rozśmiał się p. Kle-
mens, patrząc z upodobaniem na córkę. — Odziedzi-
czyłaś po ojcu wyższe pojęcia i arystokratyczne
gusta. Wyobraź sobie, Heleniu, stokroć więcej wy-
baczę ludziom szlachetnie urodzonym, aniżeli tej
klasie średniej, gdzie najpospolitsze instynkta pa-
nują.

— Żartujesz, Klemensie! — odezwała się z przy-
krością p. Helena. — Arystokracya nie otrzymała
chyba dotąd przywileju na ubieranie występku
w sukienkę cnoty.

— A mnie się zdaje, proszę ojezulka, — wtrąciła
nieśmiało Amelka, — że arystokracya właśnie ciem-
nym massom za przykład służyć powinna. Szla-
chetna krew musi iść w parze ze szlachetnością
czynów, popiera ją inteligencya wrodzona i eduka-
cya nabyta.

— Zapędziłaś nas na pole polemiki, Heleniu —
rzekł kwaśno p. Klemens. — Żałuję nieskończenie,
ale brak mi czasu... Muszę powitać hrabiego...
Kochany chłopak! Od jutra zaraz lekye konnej
jazdy rozpoczniecie... — Zwrócił się do córek: —
Bruno doskonale się trzyma na koniu i metr z nie-
go nieporównany!...

— Mój Klemensie!... — szepnęła błagalnie p. He-
lena. — Czyż koniecznie ta konna jazda im potrze-
bna? przyznam się szczerze, że się lękam cokolwiek.
Jania taka roztrzępana...

— Hrabia ją utemperuje — rozśmiał się dwuznacz-
nie p. Klemens. — Nie bądź zbyt tkiwą matką, Hele-
niu... Trzeba nerwy, zwłaszcza takie jak two-
je, — oszczędzać.

W ostatnich słowach drgało szyderstwo; p. He-
lena zbyła je milczeniem.

— Hr. Brunon jest lekkomyślny... Chciałabym
zbliżenia i poufałości zbytniej nie dopuszczać... —
szepnęła.

— Pruderya, duszko! I czyliż nie opancerzyłaś
dość twardym puklerzem cnoty swoich niewiniątek?
Przejdą przez życie wolne od pokus jak i ty Hele-
niu... Zobaczysz! — żartował p. Klemens.

Twarz p. Heleny okryła się rumieńcem.
W głosie męża dzwiała ironia i niechęć ku
żonie, ledwo tłumiona.

— Mateczko najdroższa, zdaje mi się, że obawy
twoje są zbyt czyste... — mówiła Amelka, tuląc się do
matki. — Jania twierdzi zawsze, że sąd o mężczy-
znach ma wyrobiony i jakkolwiek pragnie, by ją ko-
chano, sama nie zakocha się nigdy...

— Oczywiście że nie! — zapewniła Jania. — To
jest właściwie... zakochałbym się mogła, ale nigdy
w tym, któryby miał mężem moim zostać...

— Janiu, co ty mówisz?

— To moje *Credo*, mateczko! — odparła rezolutna
dziewczyna. — Skoro tylko mężczyzna, spostrzeże że
jest kochany, sam kochać przestaje. Trzeba ich
zawsze trzymać w niepewności, trzeba przewagę od-
razu nad nimi uzyskać...

Amelka mimowoli się roześmiała.

— Jania mówi, jak doświadczona osoba. Nieprawdaż mamó?

— Mój Boże! jakie to smutne! — szepnęła zdumiona p. Helena.

— Weale nie, mateczko! — podchwyciła Jania. — Przekona się mama, że to będzie z korzyścią dla mnie.

Ale matka nie dała się przekonać. Idealne jej pojęcia o małżeństwie, mimo gorzkiego zawodu, jak ją spotkał, nie uległy zmianie. Istnieją przecież domowe ogniska, wspólna miłość małżonków opromienione, wspólna dążność ku wychowaniu dzieci przejęte, gdzie po stronie męża leży wyższość jego duchowa, przewaga umyślna, surowe i czyste zasady.

Ach! — myślała wzruszona głęboko. — Czyli córki moje od omyłki przynajmniej ustrzedz potrafię? Dla nich rzeczywistość życia musi być od najpiękniejszych marzeń piękniejsza!

— Bądźcie uprzejmo, ale bardzo chłodne dla hrabiego — rzekła do dziewcząt, gdy we drzwiach jadalni ukazał się p. Klemens, prowadząc hrabiego.

Brunon należał istotnie do tego rodzaju mężczyzn, którzy potrafią olśnić i młode serca o niepokój przyprowadzić.

Wysoki, elegancki w każdym ruchu, rysy miał regularne i piękne bez zaprzeczenia. Była to nawet twarz, jaką się nie często spotyka.

Ciemno szafirowe, marzące oczy umiały patrzeć słodko, z dziwnie przenikliwym wyrazem.

Włosy niemal czarne, z wyniosłego czoła w tył głowy odrzucone, nadawały mu wdzięk trochę niedbały; nos kształtny, prosty, o ruchomych nozdrzach, pod nim wąsy suty jedwabisty i śliczne, niewieściego rysunku usta. Najpiękniejszym atoli był uśmiech. Łagodny, melancholijny... odkrywał szereg zębów białych i równych i dla tego często na twarzy Brunona gościł. Hrabia wiedział, z czym mu do twarzy.

Do tych zewnętrznych przymiotów dodać jeszcze należy wytworną ogładę człowieka obytego z towarzysztwem, umiającego zajmować mówić o sztuce, i o naukach, nawet o polityce. Niekiedy o stronę uczuciową potrafił, a wtedy twarz jego przybierała tęskny, marzący wyraz; niekiedy błysnął dowcipem lub sarkazmem.

Co tam spoczywało w głębi ducha tego jedynaka, wypieszczonego przez wielbiącą go matkę, psującego go do zbytku bony i guwernantki, adorowanego przez kobiety, upajające się uśmiechem i spojrzeniem pięknego chłopca, tego podobno nikt, a może i on sam nie wiedział.

Życie bezczynne, uciechom jeno oddane, położyło na nim swój stygmat zniszczenia. Trzydzieści lat przeżywszy, hrabia czuł się już wyczerpanym; wszystkiego pokosztował i świat nie posiadał już nic takiego, coby ciekawość jego obudzić mogło.

Dawniej, o! dawno już temu, pożądał miłości kobiety. W marzeniach (bo wówczas marzył jeszcze) urobił sobie ideał i długo, długo szukał go wytrwale najprzód w salonach, potem coraz niżej i niżej... — Czyj taki djabło wymagający? — mówił nieraz do siebie — czy istotnie kobiet niema na tym najpiękniejszym ze światów? I w jednej z chwil takich rozgoryczenia i zwątpienia, spotkał p. Helenę Krasnohorską. Piękna jej twarz, obleczone cierpieniem i powagą, uderzyła go odrazu i zaciekała. Oto czego szukałem! — pomyślał. I delikatną, pajęczką sieć snuć począł w koło upatrzonej ofiary, rozgrzany lodowatym chłodem obrażonej kobiety, podniecony trudnościami.

Ale p. Helena tak umiała rzecz postawić, że piękny młodzieniec bardzo rychło wyrzec się musiał swoich zamiarów.

I wtedy, w zasklepionem przez egoizm sercu zrodził się wznioślejszy, szlachetniejszy poryw; wierzył, że są kobiety, idące przez życie drogą prostą, choć nie gładką, i zawstydzony, skruszony odsunął się... Nawyknięcia wszakże wzięły nad nim górę, i tego samego karnawału jeszcze, ot, tak sobie, aby coś robić, zalecać się począł do pani Kamilli, będącej sezonową pięknością w stolicy.

Podniosłe zapatrywania Heleny Krasnohorskiej oburzały się przeciwko zwyrodniałym pieszczochom, którzy, gnuśnieli w buduarach kokietek, zatruwali się alkoholem, lub przy zielonym stoliku tracili resztkę mienia...

— Jaką ty możesz znajdować przyjemność w towarzystwie takich ludzi? — pytała wielokrotnie mę-

ża. — Hrabia i jemu podobni obrzydzenie tylko sprawić mogą...

P. Klemens się uśmiechał... W sekrecie przed żoną, dzielił przecie wszystkie ich rozrywki. Zarówno jak tamtych, pociągały go brudne instynkty ku owej otehlani występku, zład wynoszono honor poszarpany w strzępy, ciało nadużyciem zniszczone.

To też i teraz z najwyższą radością powitał hrabiego, jako zapowiedź wesołego życia po przymusowym, kilkotygodniowym poście.

— Jani! Amelko! — mówił do córek, gładząc z upodobaniem swoje wypieszczone wąsy, — starajcie się uprzyjemnić hrabiemu pobyt w Żarzeczcu, żeby nam rychło nie uciekł... Poruczam go waszej wyłączonej opiece...

Hrabia się kłaniał, melancholijnym spojrzeniem ogarniał świeże twarzyczki dziewcząt, porównywał klasyczną urodę Amelki z filuternym wdziękiem i temperamentem Jani i pewnym już był, że nie opuści rychło Żarzeczca.

Oczywiście wprędce postarał się o to, aby stać się zajmującym i uspić obawy p. Heleny, która wzrokiem nieufnym, ledwo niechęć skrywając, patrzyła na niego.

Udało mu się poniekąd. Był tak poważnym, z takim taktem i szacunkiem zwracał się do panienek, że p. Helena uwierzyła, iż zdrowa, czysta atmosfera żarzckiego pałacu wpłynęła nań dodatnio i przynajmniej na czas jakiś uspiła brzydkie instynkty.

— Lepszym się stałem, odkąd jestem w Żarzeczcu — rzekł dnia pewnego do Amelki, gdy się sami na balkonie znaleźli. — Nie pamiętam, abym kiedykolwiek był w takiej zgodzie z sobą samym... Jak tu ślicznie! Jaka świeżość, jaki spokój!...

Rozglądał się w około i wciągał w płuca aromatyczną woń skoszonych łąk nadrzecznych; łagodny wietrzyk, płynący ku nim od jeziora, chłodził mu rozpalone czoło.

— Człowiek tyle widział i pięknych, i wspaniałych rzeczy, a przecie to, co swoje, zawsze mu najmilsze... — szeptał jakby do siebie i ogarniał wzrokiem wysoką, kształtną postać, wspartą lekko o żelazną balustradę, z okiem w dal utkwionem.

Amelka mileżała. Od strony Zambrówki ukazał się na jeziorze punkcik ciemny i z szybkością posuwał się ku Żarzeczcu. Zielone, jak owe fale, które cicho u jej stóp szemrały, piękne źrenice dziewczyny rozszerzyły się ciekawością i blaskiem rozbłysły.

Twarz jej się rumieniła, drżały wzruszeniem tłumionem wargi...

Hrabia poił się tym widokiem. Któż, jeśli nie on, był wzruszenia tego przyczyną? Wyniosła, posągowa piękność Amelki, zadrgała życiem pod jego spojrzeniem. O! stokroć to było ważniejsze zwycięstwo, niżej wszystkie otrzymane dotąd...

Pełna prostoty i powagi śliczna dziewczeczka pociągała go urokiem czegoś nieznanego, co trzeba dopiero było badać, odkrywać... Przypominał sobie, że podobnego uczucia doznawał, zwiedzając lasy dziewicze Ameryki, lub pomiedzy Piramidami błądząc. Były to jedyne chwile w jego życiu coś wart! Czuł przynajmniej, że żyje...

— Panno Ameliol! — rzekł tklwie, pochylając się ku zadumanej. — Pani pewno nie wiesz, jak dobroczynny wpływ wywierasz do koła... Pewny jestem, że siłą przyciągającą i orzeźwiającą w Żarzeczcu jesteś pani, ze swoją anielską pięknością i dobrocią...

Zielone oczy w osłonie długich, jakby ufryzowanych rzes ciemnych, oderwały się od coraz zwiększającego się na jeziorze punkciku i z przestachem nieledwie zatrzymały się na mówiącym.

Hrabia po raz pierwszy dopiero przemawiał w tym tonie, który jej sprawiał niesmak i budził lek...

— Zbyt uprzejmym jesteś, hrabiol! — odezwała się wreszcie z widocznym przymusem. — Nie przywykłam do komplementów...

— Wierzę! — odparł cicho hrabia. — Młodościana duszyczka pani podobna jest do kielicha śnieżnej, wonnej lilii... Pani cała jesteś jak lilja, panno Ameliol! Czysty, wytworny kwiat, ku któremu zwraca się wzrok nieśmiały, wolny od pożądania a pełen czci...

— O! — rzekła niechętnie, — jakie wyszukane porównania!... A ja istotnie pięknego języka salonów nie rozumiem jeszcze!... Jak panu wiadomo,

ostatnich lat kilka przepędziłyśmy na pensyi. Historycy, geografowie, matematycy mniej słodko przemawiali do nas...

Uśmiech, jak promyk słoneczny, prześlizgnął się po jej poważnej twarzyczce.

— Zdaje mi się, — szepnęła po chwili, jakby do siebie, — że cokolwiek przyjemnego życie miałoby dla mnie w zapasie, wspomnienie lat na pensyi przeżytych pozostanie najmilszem.

Hrabia westchnął.

— Szczęśliwa pani! — rzekł melancholijnie. — Są ludzie, którzy nie posiadają wspomnień...

— Jakże ich żałuję! — powiedziała z prostotą Amelka. — Muszą to być ci nieszczęśliwi o oschłym sercu i zbyt trzeźwym umyśle, którzy skalpelem zimnej rozważli analizując wszelkie wrażenia i uczucia, do nieczego nie są w stanie przywiązać się, niczem zachwycić...

Hrabia zmieszał się...

Jak dziwnie przemawia do niego ta biała wiotka dziewczyna, o zielonawo-modrych oczach, tak spokojnych, jak błyszcząca w promieniach słońca tafla jeziora.

Dumna jest tą dumą szlachetną, która podnosi kobietę i w majestat królewskości przystraja... — myślał, lubując się doskonałą harmonią kształtów, stojącej przed nim pięknej panny. A przytem taka słodka i weale uroków swych nieświadoma...

Rozmarzył go dzień letni, upalny i cisza panująca do koła i to dziecię-dziewica, odkrywająca przed nim bezwiednie skarby czystego ducha...

Byłby tak stał, i patrzył, i marzył bez końca! Dobrze mu było i błogo.

Punkcik na jeziorze, rósł, olbrzymiał... Teraz już wyraźnie widać było łódkę i smukłą, zręczną postać wiosłującego mężczyzny. Słońce pozłociło bogate kędziory włosów wymskających się z pod okrągłego, słomianego kapelusza, oświeciło twarz piękną, choć ogorzałą, i muskularne, siłę zapowiadające kształty.

Dumna, spokojna twarz Amelki rozpromieniła się cichym zachwytem, oczy w blaskach tonęły.

Hrabia nie mógł od niej oderwać wzroku. Łódka ominęła park i wpłynęła w trzciny i lilie wodne.

Doktor Dembiński udał się do wsi, gdzie Gwiazdina oczekiwała go z modlitwą na ustach, tłumiąc jęki. Po operacji przebył szczęśliwie, zwyczajem wieśniaczek, wstała z łóżka zbyt wcześnie, a pracy ciężkiej oddana, powtórnie zasłabła.

Odtąd przy łóżku chorej, doktor z Amelką spotkali się kilkakrotnie. Było to zwykle niespodzianką dla obojga.

Amelka ze spotkań tych wynosiła dziwnie słodkie uczucie. Edward patrzył na nią ze wzruszeniem, bo mu przypominała Janinę.

VIII.

— Klemensiel!

— Słucham cię, duszko!

P. Klemens podniósł się na powitanie żony i grzecznie posunął jej fotel.

— Cóż mi powiesz, Heleniu?

Błada twarz p. Heleny zarumieniła się lekko. Wiedocześnie trudno jej było rozpocząć rozmowę.

P. Klemens pocałował ją w rękę z galanterią.

— Jak pani moja ślicznie wygląda! — rzekł słodko. — Co za świeżość cery, jaki blask oczu! Nawet pytać o zdrowie nie potrzebuje!

Pochylił się ku niej i zajrzał w oczy żonie.

— Szczęśliwym mężem nazwać się mogę pod każdym względem, — mówił, kokietując ją spojrzeniem. — Mój wiośniany ideał, moja uroczą Helenia tak zwycięsko opiera się wpływowi czasu, że dziś jeszcze jestem takim samym niewolnikiem jej wdzięków jak wówczas, gdy m olśniony po raz pierwszy ujrzał moją panią.

Ją dreszcz przebiegł i smutne, pełne wyrzutu spojrzenie zwróciła na męża. Po co on mówi o tem? Jest że to rozmyślane okrucieństwo, ironia, czyli też człowiek ten tak głęboko uspił swoje sumienie, że do żadnych win względem niej się nie poczuwa?

— Dziękuję ci za komplement — ozwała się głosem przyciszonym. — Wolałabym, abyśmy przeszłości nie poruszając, pomówili o przyszłości...

— Zastosuję się do życzenia! — odparł, udając obrażonego. — O cóż chodzi, Heleniu?

Roztrzęsiona, figlarna p. Kamilla, ze swoją różową twarzą i naiwnymi oczyma, byłaby z pewnością fałdą rumieńców i słodkich minek odwzajemniła taki czuły zwrot ku przeszłości — myślał p. Klemens, przyglądając się żonie z niechęcią. Podczas gdy ta... Ha! Kobiety same sobie winny, jeśli mężowie szukają po za domem tego, czego nie mają w domu.

— Więc o czymże nareszcie chciałaś mówić ze mną, duszko? — powtórzył z naciskiem. — Nie krępuj się, proszę!

Po krótkiej chwili wahania, p. Helena podniosła głowę. W czarnych jej oczach był teraz jakiś cień posępny, trwoga usilnie tłumiona. Czyżby lękała się tego eleganckiego, na wskroś słodkiego małżonka?

— Klemensiel! — odezwała się cicho, — przebac, jeśli cię moja kobieca drobiazgowość i przezorność rozgniewa. Wam, mężczyznom, wydaje się często, że to co my przewidujemy zawczasu, jest bardzo odległe, lub wprost wybrykiem naszej wyobraźni. Tymczasem...

— Aha! Jestem na tropie! — zauważył ironicznie p. Klemens. — Powiniennem być przewidzieć, Heleniu, że wchodząc tu, nauczkę moralną niosłaś mężowi w darze. Cha, cha, cha! Jakże śmiesznie w obec tego mój rozrzucający zwrot ku przeszłości wygląda!

Wyraz przykrości odbił się na twarzy p. Heleny. Podniosła smutne oczy na męża i rzekła:

— Uprowadzasz się z góry do tego, co mam powiedzieć... Przyznasz chyba, że żona nie może być rodzajem jakiegoś automatu... Tak jak życie nasze jest wspólnem, tak myśli, plany i czyny powinniśmy dzielić razem.

— Czyli innemi słowy, — przerwał p. Klemens, — trzeba pozbawić męża niezależności. Wiadomo, że wszystkie ku temu dążycie...

— Mój Klemensiel! Odbierasz mi odwagę do wypowiedzenia tego, z czem do ciebie przyszłam...

— Pardon! Zamieniam się w słuch i jestem na usługi mojej pięknej interlokutorki. Zaczynaj, Heleniu!

Zartobliwy, szyderski ton mowy p. Klemensa uraził p. Helenę. Spojrzała z wyrzutem na męża.

— Słyszałam, że masz zamiar nabyć sąsiednią Zambrówkę — rzekła. Projekt to bardzo poważny i wyznaję, że lękam się aby nie był ryzykowny. Czy to nie za wiele będzie ciężaru dla ciebie, kiedy biuro pochłania większą część twojego czasu? Należało — by zastanowić się nad tem!

— A! więc ja działam bez zastanowienia? Uprzejma jesteś, Heleniu — zauważył z kwaskowatym uśmiechem p. Klemens.

— Nie chwytaj mnie za słowa; mężu! — prosiła, patrząc na niego błagalnie. — Wiem, że nie lubisz, gdy się wtrącam do interesów; z obawą tedy zabieram głos w tej sprawie...

— Niepotrzebnie się kłopotasz. Jeżeli bowiem powziąłem już zamiar i uważam go za korzystny, żadne perswazyje na zmianę nie wpłyną — odpowiedział z przesadną grzecznością. — Zarzecz samo przez się nie nie znaczy; Zambrówka zaokrągli dopiero tę piękną posiadłość. Pierwsze zadawalnia w zupełności moje estetyczne wymagania, drugie da materyjalne zyski. Ziemia tam doskonała, lasu kawał...

— Z którego wszyscy podczas nieobecności dziecka korzystać będą...

— Nie obawiaj się, duszko! Umiem silną dłońią trzymać pracowników moich w biurze, to i na wsi radę sobie dać potrafię.

— Przypuśćmy, że tak będzie! Skądże kapitał? — spytała nieśmiało p. Helena.

— Czy lękasz się o swój posag, Heleniu?

Pytanie zadane było nader uprzejmie i słodko, ale w oczach Krasnohorskiego błysnął gniew ledwo powstrzymany.

— Powiększyłeś go w dziesięćkroć — rzekła serdecznie. — I czyż ja kiedykolwiek pytałam, coś z nim uczyniłam? Nie uprzykrzałam ci się nigdy uwagami, ani kontrolowałam wydatki...

— Pozwól, duszko! Nie byłbym zgodził się na to — zawsze uprzejmie odparł p. Klemens.

Zarumieniła się i zawahała.

Urażał ją ton, w jakim mąż prowadził rozmowę. Czyżby istotnie nie wolno było żonie zatroskać się o byt wspólny, o przyszłość dzieci?

— Przedewszystkiem, proszę cię, Klemensiel, nie odbieraj mi odwagi do wypowiedzenia moich obaw — zaczęła znowu.

— Nie mam zamiaru czynić uwag, ani zarzutów dla jakichś urojonych, bez odstawnych przyczyn. Trwoga jedynie przywiodła mnie tutaj. Skoro odpowiesz, że kapitał odpowiedni i na kupno tych folwarków, i na ich zagospodarowanie posiadasz, odejdę spokojna.

— Jestem o tyle uprzejmy, że pominawszy niestosowność twojego zapytania, odpowiem ci duszko — rzekł, gładząc faworyty, p. Klemens. — Zambrówka należy do wdowy, której już Towarzystwo na licytacji jeden folwark sprzedało. To, co pozostało, zmarnuje się w kobiecych rękach. Interesa tak są powikłane, że trudno będzie kobiecie dać sobie radę. W takich warunkach czyż nie korzystniej dla niej wziąć trochę gotówki i wynieść się z dziećmi do miasta?

— Kochany Klemensiel! — szepnęła z prośbą p. Helena. — Czy nie lepiej byłoby dopomódz jej radą i zająć się po sąsiedzku rozwikłaniem tych poplątanych interesów? Skoro jest wdową, ma dzieci...

Piękne oczy p. Heleny rozgorzały współczuciem; zwróciła je błagalnie na męża.

P. Klemens uśmiechnął się z ironią.

— A to zabawne! — rzekł, wzruszając ramionami — Małżonek owej opłakiwanej przez ciebie wdowy cały prawie, wcale piękny majątek zagranicą przeszedł; w konkluzji, zgrawszy się w Monaco, w łeb sobie palnął. Z jakiejże racji ja, najmniej w tem interesowany, pozostałość po nim, w osobie rozbolelej wdowy i skrzeczących malców, brać mam pod opiekunkę skrzydła? Gdyby chociaż wdówka ładną była... Ale wówczas, Heleniu, nie nakłaniałabyś męża do opieki nad nią... Nieprawdaż?

Jaskrawy rumieniec oblał szlachetną twarz kobiety. Słowa oburzenia cisnęły jej się na usta, ale się powstrzymała.

— Przykro mi, że żartujesz w kwestyi tak poważnej, Klemensiel! — odparła wzburzona. — Jeżeli opiekować się nią nie chcesz, to przynajmniej nie przykładaj ręki do tego, aby oddać ten kawałek ziemi, jaki jej pozostał. Niechaj on będzie pamiątką dla dzieci...

— Po niegodziwym ojcu? — zaśmiał się Krasnohorski.

— Po nieszczęśliwym, któremu nie wpojono zasad honoru i nie nauczono waleczyć z pokusami — odpowiedziała łagodnie.

— To już jego rzecz! — mruknął niechętnie p. Klemens. Jakże go nudziła rozmowa z żoną!

Ale p. Helena nabrała teraz odwagi.

— Klemensiel! — rzekła, stając przy mężu i w serdeczny uścisk dłoń jego ujmując. — Ja wiem, że ty sam przyznasz mi słuszność i zaniechasz projektu, któryby mógł cień rzucić na twoją uczciwość. Zastanów się tylko: czyż ludzie nie będą mieli prawa powiedzieć, żeś skorzystał z nieszczęścia samotnej, bezradnej kobiety? Przy umiejętnym gospodarowaniu i pomocy sąsiedzkiej, mogłaby mieć byt spokojny i dostatni.

— Przykro mi, Heleniu, że nie mogę podzielać twoich idealnych poglądów — powiedział Krasnohorski, usuwając się lekko od pieszczotliwego dotknięcia żony. Gdyby każdy swoje korzyści poświęcał dla drugich, samby nigdy do niczego nie doszedł. Wiesz o tem dobrze, że i ja mam także pewną słabość do filantropii... Niekiedy i z dzienników dowiadywałam się, (bom się z tem przed tobą nie chwaliłam), że i setek kilka nie dla mnie nie znaczyło, gdy szło o otarcie jakichś tam łez, czy wdowich, czy sierocych... Nasza Warszawa jest tak na wskroś miłosierną i dobroczynną, że raz po raz coś nowego wymyśla... Nie byłam ostatni! Ale żeby miał wyrzekać się zrobienia korzystnego interesu dla urojen, które się w główce mojej egzaltowanej małżonki wyległy!... Ty sama miałabyś prawo śmiać się ze mnie, Heleniu!

Pocałował z galanterią rękę żony i stanął przy oknie.

— Posiadłość piękna i wspaniała, tylko ją trzeba zaokrąglić — rzekł z miną zadowoloną. — Spójrz tylko, Heleniu! Na prawo, tam pod lasem, jeżeli masz wzrok dobry, leży folwark, który chcę nabyć Zam-

brówka Górna, bo w Dolnej, jest jak ci wiadomo, cukrownia. W krótkich abecugach myślę rzecz ukończyć. Zeby zaś uspokoić czułe twoje sumienie, powiem ci, że obecna właścicielka zrobi dobrego interes, jeśli ja się nie rozmyślę... Uważasz, kochanie? I nie mówmy już o tem!

Przeszedł się po pokoju, nie patrząc na żonę.

Po chwili, z gracyą sobie własciwą, podał jej bombonierkę napełnioną czekoladkami.

— Służę ci, duszko — mówił ożywiony. — Daruj, zem dotąd o gościnności zapomnieli. Pani moja rzadko raczy odwiedzać swego pokornego sługę...

P. Helena odsunęła czekoladki; czuła się obrażoną. Czyż nigdy, nigdy nie uzyska ona prawa głosu, czy mąż nie przestanie traktować jej jak istotę bez własnego zdania? Cień gorzkiego uśmiechu przemknął po jej twarzy.

— Nie rozumiemy się kochany Klemensiel! — rzekła poważnie. — Raczej ty widocznie pojąć mnie nie chcesz. Przypomnij sobie, że każda nasza rozmowa kończy się w ten sposób co dzisiejsza...

— A zatem najlepiej będzie nie poruszać przedmiotów, które nas oboje drażnią i zakłócają słodką harmonię... — odparł z lekką ironią. — Czy ja się mieszałem do twoich zajęć, Heleniu? Dobra żona o nie nie pyta męża, bo ufając mu nieograniczenie, spokojną jest, że co on robi, nagany nie potrzebuje. Ot powiedz mi lepiej, duszko, czy nie należałoby pomyśleć o urządzeniu jakiegoś baliku inauguracyjnego? Jużemy się przecie urządzili w Zarzeczcu i wizyty pierwsze oddali. I nie dotąd... A to przecież nie wypada...

— Skoro uważasz, że to potrzebne, oznacz dzień przyjęcia — odpowiedziała z westchnieniem. — Przypuszczałam, że się bez tego obejdziesz, skoro z nadzieją zimy opuszczamy Zarzeczce... Pociągnięto to za sobą ogromny wydatek...

— Wszak daję ci zwykle *carte blanche*, Heleniu, więc nie masz się o co troszczyć — uprzejmie odparł.

P. Helena spuściła głowę z nieukrywanem już zniechęceniem. Mąż najwyraźniej postanowił udawać, że jej nie rozumie, i widocznie tak będzie zawsze... Jakże to przykre!

— Pomówię z dziewczętami! — rzekła znekana. — Myślałam, że na wsi wypocznie nieco... Skoro jednak żądasz tego konieczności...

— Proszę tylko, pięknie proszę! — poprawił ją elegancki małżonek, składając powtórny pocałunek na rękę żony.

Opuściła pokój z ciężkiem uczuciem. Szalone projekta męża, niepomierne wydatki przerażały ją. Co począć? Jak go powstrzymać! Wyrzucała sobie miękkość swoją, nieradność, karciała siebie, że braknie jej mocy do dłuższej walki, że powinna znaleźć drogę do serca i rozsądku swego męża.

Teraz atoli gnębił ją najwięcej sposób, w jaki zamierzał nabyć od nieszczęśliwej wdowy Zambrówkę. Znała luźne jego poglądy i tę niesłychaną łatwość, z jaką potrafił wmówić w siebie, że czynami jego kierują zawsze pobudki szlachetne... Ona wiedziała niestety, co o tem sądzić! Zadumaną, z oczyma od łez zaczerwienionymi, odnalazła dziewczęta w najodleglejszej części parku, dokąd się schroniła, czując, że ją zwykła umiejętność panowania nad sobą opuszcza.

Udały jednak, że nie dostrzegają zmienionej twarzy matki i łez drżących na rękach. Alboż nie znają powodu?

Chcąc ją rozweselić, zaczęły szczebiotać jedna przed drugą. Nawet mniej baczny spostrzegacz byłby dojrzał w nienaturalnej ich wesołości zrećznie graną komedię. Jakież to bolesne i upokarzające! P. Helena srogię czyniła sobie wyrzuty.

— Ojciec chce, abyście się zabawiły! — odezwała się do córek, usiłując drżenie głosu pokonać i przywdziać wesołość na twarz maskę. — Mamy wydać bal i to wkrótce... Cóż wy na to?

— Bardzo się cieszę! — zawołała Jania. — Byle tylko młodzieży było dużo... Będę zawracała głowy na prawo i na lewo... O! dam ja im!

— Staraj się być uważniejszą w mowie, Janiu — rzekła p. Helena. — Często nawet mówisz to, czego nie czujesz...

— Mateczko, czuję! Cała moja zdolność wysila się ku temu, by przebrzydłemu rodzajowi męzkemu dać się we znaki. Oho! już ja potrafię!

— Nie irtuj mamy! — szepnęła Amelka.

— Mój Boże! Czyż ja chcę irytować i czy w ogóle mogłoby to kogokolwiek gniewać, że ja tych pyszałków, zarozumiałców chcę na potulnych baranków zamienić! — mówiła Jania, tuląc się do matki, i gorącymi pocałunkami osypując jej ręce.

— To tak wygląda, jak gdyby wszyscy byli tacy! — zauważyła Amelka.

— Bo wszyscy! Bez wyjątku!

Amelka była oburzona.

— Nie szukając daleko — a doktor Dembiński?... — spytała, spuszczaając oczy. Jania, choć rumieniec uderzyła jej na twarz, nie ustępowała.

— Twój idealny doktor lepiej potrafi się maskować, niżeli inni — rzekła wprost, ale tu już matka żywo zaprotestowała.

— Dembiński jest zacnym, szlachetnym człowiekiem — odezwiała się, karcąc wzrokiem córkę. — Ze swoją bystrą inteligencją, swoimi zasadami, zawsze roztropnym zdaniem, posiada niezaprzeczoną wyższość nad wieloma młodymi ludźmi. Jakże pięknym jest stosunek jego do matki staruszki, jak uznania godnym, poczucie obowiązku względem bliźnich...

Amelce śliczne róże zakwitły na licach. Matka powtarzała niemal jej słowa, przenikała myśli. A przecież rada byłaby słuchać, słuchać bez końca.

Jania, chociaż serce trzepotało się jej w piersi, jak zaleknione ptaszkę, gdy je w sidła pochwyca upierała się przy swoim.

— Ależ mateczko — broniła się tem goręcej, im więcej czuła, jak kruchą zarzuty jej mają podstawę, — doktor Dembiński taki jest zabawny z tą wyidealizowaną miłością ludzkości, ze słowem przebaczenia dla wszelkiego rodzaju ułomności i dziecięcą wyrozumiałością, że w rezultacie sprawia to, na mnie przynajmniej, wrażenie czegoś sztucznego, nienaturalnego. Tyle fałszu przecież, tyle obłudy w około, ludzie tacy mali i wcale nie dorastają do tej idealnej miary, jaką ich p. Dembiński mierzy.

— A czy to pięknie, Janiu, że ty ze wszystkich szydzisz? — napomniwała ją łagodnie p. Helena. — Wielokrotnie zwracałam ci już uwagę, że trzeba być wyrozumiałą w sądach. Pod błędami i śmiesznościami nawet istnieje zawsze dobre jakieś ziarno w każdej duszy ludzkiej.

W czarnych oczach Janiny odbił się wyraz zaciętego uporu. Nie chciała sprzeczać się z matką, ale widok zapłakanych jej oczu, wspomnienie owej róży, która, ze śnieżnej bieli koronek, ubierających stanik p. Kamilli, w tak niewłaściwe dostała się ręce, nieprzeżyty rozdział kładło pomiędzy optymistyczne zapatrywania matki, a jej własne, smutne doświadczenie.

Rozżalona oparła głowę na ramieniu Amelki i zadumała się.

Jaka przepiękna harmonia barw w około, jak cudownie lazur nieba po przez zielone gałęzie drzew patrzy na nią łagodnym, czystym błękitem; jak ziemia cała pięknoscią pogodnego, słonecznego lata strojna, oddycha spokojem i szemrze cicho wody jeziora, delikatnym uściskiem obejmując puszystą murawę parku i złociste kielichy pływających po wodzie lilij.

Ach, gdyby to i w jej duszy zwaśniałe światło harmonii i spokoju zabłysło!

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Henryka Melcera pamiętam z owych czasów, kiedy, jako mały chłopiec, popisywał się w domach prywatnych i na estradzie towarzystwa muzycznego w Kaliszu, gdzie ojciec jego, s. p. Karol Melcer, był nauczycielem muzyki i śpiewu chóralnego i pracował z zapałem nad swem utalentowanym dzieckiem. Nie idąc śladem ojców — eksploatatorów, którzy radzi wyciskają z młodocianych latorośli swoich, w celach zysku, najpożywniejsze soki i nieraz sprowadzają zgubę rzeczywistych nawet zdolności, s. p. Karol Melcer troskliwie hodował syna. Rozwijając

jego talent, dbał również o rozwój fizyczny i umysłowy dziecka. Henryk Melcer, będąc uczniem gimnazjum kaliskiego, celując zawsze otrzymywał stopnie, w końcu zaś przy patencie dojrzałości dostał złoty medal na dowód pilności i istotnego rezultatu ośmioletnich studiów.

Przez ciąg gimnazjalnych czasów, Henryk Melcer nie zaniedbywał muzyki; owszem: nad Prosną, przy szumie kaskady, wsłuchiwał się młody artysta w melodye rozbrzmiewające w pieśni ludu, który z okolicznych wiosek do miasta przybywał i gwarem swoim je napełniał.

Po skończeniu gimnazjum, udaje się, za wolą ojca, do Warszawy i wstępuje do uniwersytetu, jednocześnie zaś uczęszcza do konserwatorium. Podwójne te zajęcia nie mogły wszakże zbyt długo absorbować artysty, którego fortepian i papier nutowy więcej interesował, niż *Corpus juris*, albo studia w prosekutorium.

Henryk Melcer porzuca tedy uniwersytet i z entuzjazmem zabiera się do pracy w konserwatorium. Przedewszystkiem oddaje się energicznemu studium pod kierunkiem prof. Strobla. Znamy wszyscy tę niepospolitą, wyborną szkołę i metodę, jaką posiadał się ten doskonały mistrz fortepianu. Cały szereg rozgłoszonych artystów i artystek wyszedł z pod egidy prof. Strobla, który w historii naszej pedagogii muzycznej zajął odrębne, wyjątkowe i obfite w pomysły rezultaty stanowisko. Jemu też zawdzięcza Henryk Melcer wytrawność, technikę i inne zalety dobrej szkoły, t. j. te wszystkie przymioty pianisty, później już tylko uzupełnione pod przewodnictwem Leszczyckiego.

W kompozycji kształcił się Melcer pod kierownictwem prof. Zygmunta Noskowskiego. Zaszczepił w swego ucznia znakomity profesor prawdziwą, głęboką umiejętność używania środków technicznych do wyprowadzenia w nadobnej formie myśli własnej. I uczeń profesorowi się udał, czego dowód oczywisty mieliśmy wtedy, gdy przed paru miesiącami uzyskał w Berlinie pierwszą nagrodę na konkursie międzynarodowym za dzieło, napisane z natchnieniem i świadczące o zgłębieniu przez młodego kompozytora tajników twórczości muzycznej.

W d. 10 b. m. Henryk Melcer na koncercie, urządzonym w salach reutowych przez dyrekcję rządową teatrów warszawskich, zaprezentował publiczności naszej konkursowe dzieło swoje: *Trio* (G-moll) na fortepian, skrzypce i wiolonczellę. Do fortepianu zasiadł sam autor, skrzypcową partję objął Barcewicz, na wiolonczelli grał prof. Cynk — i utwór Henryka Melcera zajaśniał wszystkimi blaskami, jakie w sobie posiada.

Trzeba zaznaczyć, iż „Trio“ to ma zupełnie oryginalną treść i fakturę. Widocznie autor kroczy własną ścieżką, szuka własnych motywów, rysuje według własnych modeli — dzięki też temu osiąga skutek pod każdym względem dodatni.

Czuć w dziele Henryka Melcera dramatyczny wyraz, który w różnych zmianach w ciągu całej kompozycji uwydatnia się dobitnie i każe wróżyć młodemu twórcy, iż próba, jaką podejmie w celu napisania opery, lepiej jeszcze przedstawi nam fizyognomię jego. Pomysł do opery Melcer już posiada, jak mi o tem w rozmowie wspominał, tylko nie może znaleźć dobrego librecisty. Czyżbyśmy nie mieli nikogo, coby dobre mógł napisać libretto?

Dramatyczny charakter „Tria“ sprawia, że się go słucha z wielkim zajęciem; nawet w „An'dante“ odnaleźć można ów pierwiastek, objawiający się w przesłiznym śpiewnym ustępie. Całe dzieło porywa świeżością i poezją.

Wykonał „Trio“ przepyszenie sam autor; dzielnie zaś mu pomagali p. p. Barcewicz i Cynk.

Doskonale również przedstawił się Melcer, jako twórca „Concertstück'u“; jestto także plon z konkursu berlińskiego — plon bogaty i piękny.

Oprócz swoich utworów, wykonał Melcer na powyższym koncercie szereg dzieł: Beethovena, Chopina, Mendelssohna, Griega, Brahmsa, zyskawszy huczne i zasłużone oklaski. Ręką zaś jakiejś wielbicielki talentu koncertanta napis wyhaftowany złotem na białej szarfie: „Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga. — Łam, czego rozum nie łamie!“ dobrze odpowiadał celowi. Młody kompozytor odbywa obecnie podróż artystyczną zagranicą, zkradł wraca do Helsingforsu, gdzie objął klasę fortepianu jako profesor zwyczajny w tamtejszym konserwatorium.

Czemś nadzwyczajnem mieli być dwaj pianiści angielscy, p. p. Ross i Moore, którzy wypełnili jeden wieczór towarzystwa muzycznego. Reklama, poprzedzająca ten występ, głosiła, że artyści ci mają grać na dwóch fortepianach *unisono*; tymczasem rzeczywistość pokazała, że ułatwiają sobie oni zadanie, rozkładając naje częściej akompaniament od wiolinu. W ten sposób grając, otrzymują artyści rezultat, którego osiągnąć w wielu razach nie byłby w możności jeden pianista. Zdarza się też, iż efekt gry tak podzielonej pomiędzy dwóch wykonawców jest chwilami silniejszy. P. p. Ross i Moore są przytem świetnie zgrani z sobą i tworzą harmonijną całość. Najlepiej w grze tych artystów wypadła 12 Rapsodya Liszta, który się też najlepiej nadaje do tych wirtuozowskich pomysłów, jakimi rozporządzają londyńscy fortepianiści.

Aby uzupełnić charakterystykę, przytaczam to, co w tej materii mówi wytworny estetyk, p. W. Bogusławski:

„Czy wszystkie zalety ich gry zapewniają słuchaczowi prawdziwie artystyczne użycie? Odpowiedź na to pytanie dał z subtelną ironią Moszkowski w liście do jednej z warszawskich melomanek. Chwali on bardzo obu pianistów i w tych słowach reasumuje swoje wrażenia: „Mówią, że Ross i Moore grają jak jeden człowiek. Według mnie, *sie leisten mehr — sie spielen wie... zwei Mann.*“ Jest w tem więcej, niż koncept — jest dużo prawdy.“

Ogromne za to wrażenie wywarł w d. 15 b. m. na koncercie towarzystwa muzycznego świetny skrzypek, p. Cezar Thomson. Urodzony w 1857 r. w Liège, Thomson należy do najpierwszych artystów szkoły belgijskiej, którą zawiązał Vieuxtemps, a której wybitnym przedstawicielem był Leonard, profesor Thomsona.

Skrzypek podobał się u nas rzeczywiście. Jego gra jest pełna szlachetności, spokoju i smaku, a przytem niemało zawiera w sobie polotu. Technika pierwszorzędna pozwala artyście wykonywać najtrudniejsze technicznie biegniki, staccata, tryle z nieporównaną precyzją i czystością. Thomson panuje nad instrumentem i nie daje się porwać temperamentowi: gra równo i z umiarkowaniem, wysoką sprawiającem satysfakcję.

Słuchacz czuje, że ma do czynienia z niepospolitym artystą, który niewątpliwie jeszcze bardziej się rozwinie. Thomson interpretuje np. Vieuxtemp'sa jakby za nadto spokojnie, za chłodno, a przecież potrafi z pod smyczka wydobyć czarowne dźwięki. Nie ulega wątpliwości, że gra Thomsona nie wstrząsa, nie przenika tak do głębi, jak np. interpretacja naszego Barcewicza, wszelako podoba się i świadczy o wielkim talencie belgijskiego skrzypka.

Tam, gdzie trzeba wykonanie i efekty gry oprzeć na technicznych podstawach — tam smyczek Thomsona nabiera owych cech potężnych, które podziwiać musimy. Do takich dzieł zaliczyć należy fantazję Paganini'ego, osnutą na tle motywów z finału opery Ross'iego: „Kopciuszek.“ W tej fantazji właśnie Thomson zajaśniał brawurą i bajeczną techniką. Nad program wykonał artysta znany Romans (Es-major) Rubinsteina i „Tarantellę“ Wieniawskiego. Podobno w przyszłym miesiącu Thomson ma dać jeszcze jeden koncert w Warszawie.

Na tej samej estradzie, tego samego wieczoru, wystąpiła młoda śpiewaczka, b. uczennica prof. Horbowskiego, p. Marya Kamińska. Śliczny to głos, dobrze już nawet ustawiony, lekko wydobywający się z gardła, miękki a dość przytem silny. Doznała też młodziutka artystka nadzwyczaj dużego powodzenia: nie szczędzono jej ani oklasków, ani bisów. P. Kamińska odśpiewała bardzo ładnie arję z „Wesela Figara“ Mozarta oraz pieśni: Moniuszki, Szopena, Kratzera i Hertza. Młodziutka, niezwykłym talentem obdarzona artystka, powinna piękne swe zdolności wokalne rozwijać nader wysoko.

O ile Towarzystwo muzyczne (zbliżające się już do poważnej liczby 1,000 członków) wciąż znacząco dobitnie swą działalność, o tyle operze źle się w bieżącym widzie sezonie. Przed naszymi oczami przesunęła się cała galerya Włochów, ale ani jednej znakomitej nie ujrzeliśmy postaci. Naprawdę dyrekcja szuka, naprawdę obficie płaci — włoskich śpiewaków nie ma ani na lekarstwo. Co który przyjedzie, wystąpi dwa lub trzy razy, robi *fiasco*

i wynosi się za góry z powrotem. Zaledwie jakie takie zdobył powodzenie p. Piccaluga, tenor sympatycznie brzmiały, choć znowu nie odznaczający się zbyt wybitnymi przymiotami. Obok niego pracuje młoda śpiewaczka, p. de Nuntio, niedoświadczona jeszcze i studująca dopiero partye operowe. Próbował w operze naszej p. Rawner, tenor bohaterki; ale nie przypadł do smaku ani publiczności, ani krytyce. Pomimo więc dosyć dobrego odtworzenia „Trubadura“, dwie drugie role: Raula w „Hugonotach“ i Radamesa w „Aidzie“, przeważały, i śpiewak odjechał.

Nie wiele da się powiedzieć o młodym tenorze, p. Stampagnonim, który zadebiutował w „Faworycie“. Głos dzwiczny i sympatyczny, ale mały i nikły.

W obec takiego personelu opera świeci pustkami. Na dobitkę złego, filar opery, p. Dąbrowska, na cztery miesiące wyjechała do Lwowa i Mediolanu; miała zupełnie opuścić scenę warszawską, szczęściem nieporozumienie zażegnano i utalentowana śpiewaczka powróci do Warszawy. Tymczasem jednak nikt jej tu zastąpić nie zdoła.

Bawiącą w Paryżu p. Konarską, zastąpiła jako „Halka“ dzielna artystka teatru Małego, p. Czosnowska. Z trudnego zadania wywiązała się p. C. świetnie: bez orkiestrowej próby wykonała partję zarówno pod względem wokalnym, jako też aktorskim bez zarzutu.

Wkrótce monotonję żywota operowego przerwie szereg występów p. Miry Hellerówny, której sukcesy dotąd wszyscy utrwalone mamy w pamięci. Gdyby się pogłoski sprawdziły i gdyby przyjechał goszczący obecnie w Kijowie p. Myszuga, sezon tak smutnie rozpoczęty rozwidniłby się pod koniec. Przyjazd pani Stromfeld-Klamrzyńskiej, która niebawem występować zacznie na scenie teatru Wielkiego, wpłynie również na ożywienie repertuaru. Sprawdza się tedy przysłowie francuskie, które możemy zastosować do dzisiejszej sytuacji operowej: *on revient toujours à ses premiers amours*, bo siły artystyczne, o jakich mówimy, błyszczały niedawno na scenie warszawskiej, ściągając tłumy do widowni, świecącej dziś najczęściej pustkami.

Adam Dobrowolski.

List z Anglii.

Święta Bożego Narodzenia są obchodzone w Anglii całej ze szczególną uroczystością i nie ma tak ubogiej rodziny, tak ubogiego człowieka, który by w dniu tym weselej nie patrzył na życie, na co też składają się usilnie ludzie wszelkich stanów, poczuwający się do braterskiej miłości bliźniego. Odwieczna tradycja składa się na to i w przeszłym jeszcze wieku jeden z wyższych literatów angielskich, Leigh Hunt, skreślił w obszernej, a bezpłatnie rozsyłanej broszurze wielkie dla ludzkości znaczenie tego święta, które równać tak powinno wszystkie stany, aby nikt nie czuł się nędznym i upokorzonym. Broszura ta bywa co rok przedrukowywana w znacznej liczbie egzemplarzy i rozrzućana setkami, tysiącami po wsiach i miastach, równie jak i kolendowe poezje Milтона, w których wzniosły ten poeta przemawia do ogółu swego, iż w dniu tym ludzkość cała powinna być przejęta wdzięczną miłością Boga i uczuciem bratniej miłości wszystkich ludzi.

Dzienniki londyńskie wspominały też ze smutkiem, że angielscy żołnierze w dniu tym zmuszonymi być mogą do walki z afrykańskimi poganami i muzułmanami we wschodniej Azji, a obok tego dwa wielkie narody, mówiące jednym językiem, mające jedne tradycje cywilizacji: Anglia i Stany Zjednoczone Ameryki, może wystąpią na przeciw siebie z dobytym orężem. A nie koniec to jeszcze rozlew krwi, bo pomiędzy Anglią i Niemcami rozwinął się zatarg ostry z powodu zaprzeczenia Anglii praw do gospodarowania w Transwalu. Postawiono też natychmiast w angielskich kołach woj-

skowych mobilizacyą „eskadry latającej“. Anglia może również uzbroić natychmiast więcej niż czterdzięci okrętów. Eskadra lekka, która by wysunęła się w takim razie na przód, ma się składać z siedmiu wielkich okrętów.

Anglia ma też obok tego do rozwiązania kwestyę bardzo ważną: polepszenie materialnego bytu klas zarobkujących. Rzecz tę popiera silnie szlachetny i rozumny człowiek, należący do członków gabinetu, Chamberlin, wspólny z sir Johnem Gorstem, który bada nie od dziś dopiero kwestyę klas pracujących i gdy Wilhelm II zwołał był w Berlinie międzynarodowy wiec w sprawie tych klas pracujących, Gorst podjął ją najszlachetniej, a zarazem najpraktyczniej i powiedzieć można, że on to wywołał w Anglii kwestyę zdrowych i wygodnych mieszkań dla klas robotniczych, bo obecnie są one zakałą dla narodu angielskiego. Zformowały się też w sprawie tej komisye parlamentarne zajmujące się gorliwie tą kwestyą i ozwały się liczne głosy, aby naród z wielkimi magnatami na czele zajął się o ile można najprędzej przebudowaniem mieszkań dla klas pracujących. Przykład szlachetnych filantropów jak Peabody, lordowie: Jerzy Guinen i Henryk Allsop, wzbudził w sercach ludzkich pragnienie podobnie podjętego dzieła ludzkości, ale niełatwo da się to dokonać, wiek może cały potrzebował by upłynąć, aby z tych funduszy rzecz powstać mogła, bo wykazaniem zostało, że trzeba by skarbowi państwa dać co najmniej 120 milionów funtów szterlingów, aby wzniesie szereg zdrowych i do pewnego stopnia wygodnych domów dla klas robotniczych. Zkąd ich wiać przecież? Anglia spłaca corocznie już przez lat dwadzieścia po pół ósma milionów funtów szterlingów długu narodowego i gdyby nawet podwojono tę sumę, upłynąć musi jeszcze z jakie lat pięćdziesiąt, aby cały ten dług został spłaconym. Ze przecież nie można na ten cel obarczać ludności coraz to większymi podatkami, łatwo zrozumieć.

Bank angielski obchodził w roku ubiegłym sto dwudziestoletni jubileusz swego istnienia. Gdy w 1694 roku uchwalono zorganizowanie tej instytucji, podpisy na jej wzniesienie doszły wkrótce do 1,200,000 szterlingów, a działanie rozpoczęło się w 1695 r. Obecny gmach banku zbudowanym został w 1734 r., lecz nie przedstawia on się ani wspaniale, ani pięknie już dla tego samego, że front cały nie ma ani jednego okna, ale jest on za to obronny jak warownia jakaś i jak warownia też wytrzymał atak uzbrojonej tłuszczy, która go raz zdobyć cheiwie pragnęła. A jest też tu niemało grosza i kapitał tej instytucji przedstawia 14,533,000 funtów szterlingów, a kapitał rezerwowy 3,414,660 funtów; pracuje tu 1,160 osób, mających na czele gubernatora wice-gubernatora i 24 dyrektorów; aplikantów jest 1,000, gmach strzeżony jest w nocy przez 40 stróżów i 39 żołnierzy gwardyi za oficerem na czele, który dostaje zawsze od zarządu pyszną kolacyę z najwytworniejszym winem i cygarami.

Już to jak wszędzie trzeba dobrze strzedz tu grosza; z jednej strony ludzie niemal nie wiedzą co z nim robić, z drugiej chwytają go łakomie i do smutnych rzeczy należy fakt, że jeden z ludzi wyższych przez niepospolitą naukę w zakresie wiedzy medycznej przez londyńskiego kolegium lekarzy, College of phisiciens, szanowany ogólnie został nagłe oskarżonym publicznie o kradzież, bo o przywłaszczenie sobie nieprawne spadku po przyjacielu swoim od lat bardzo dawnych, który z pominięciem krewnych zapisał mu całe swe mienie na lat pięć przed śmiercią, wyrażając w nim żywe uczucie przywiązania do przyjaciela. Ale cheiwość ludzi na grosz łakomych jest zdolna wszystkiego się dopuścić byle zyskać ten grosz pożądany, daleki krewny zmarłego wystąpił z prawem do spadku i stał się skandal wielki, gdy sądy odsunęły napastnika, a sędzia wyrokujący wyraził piękne zdanie, że nie krew, nie ciało, ale serce i dusze wiążą ludzi ze sobą. Przemówiło to da uczuć słuchaczy i wszyscy zebrani na posiedzeniu sądu uderzyli w łonie, cheiwość zawstydzony uszedł co prędzej z sali sądowej, a narzeczona jego, panna bardzo bogata, odesłała mu obrączkę zaręczynową, dodając w liście, że działa tu w niej nie utrata spodziewanego mienia. Królowa Wiktorya dowiedziawszy się o tem napisała do niej list, własnoręcznie skreślony, w którym winszuje jej, że umiała się podnieść

nad uczucie miłości, skoro poznała, że ukochany jej nie ma w piersi uczuć szlachetnych.

Umarł tu w tym czasie Henryk Reeve, redaktor główny Przeglądu Edynburskiego, niegdyś przyjaciel Zygmunta Krasińskiego, poznanego w czasie jego pobytu we Szwajcaryi między 1820 a 1831 rokiem. Korespondencyę swoją z wieszczem naszym ofiarował Reeve w 1833 r., ordynatowi Krasińskiemu, aby wyraz szlachetnych myśli i uczuć poety wrócił do rodziny i ogrzewał serca, podnosił ducha tych, którzy mają prawo do takiego spadku, bo myśl szlachetna to skarb drogocenny, który należy przechowywać z pokolenia w pokolenie. Instytut malarzy akwarelistów w Londynie ogłosił w tych dniach między narodowy konkurs na dzieła sztuki, podzielone na działów cztery: I-go temata humorystyczne, temata poważne, religijne lub historyczne, ilustracye szlachetnych czynów i odtworzenie pendzlem utworów poezyi, II-gi obraz z życia biblijnego, domowego i towarzyskiego, III temata utylitarne, odnoszące się do przemysłu, IV wzory dla których wyznaczono siedem nagród, a wśród tych pierwsza otrzyma 20 funtów szterlingów, druga 10, trzecia 5, spodziewamy się przecież, że nam tu coś z dzieł naszych przysłecie, abyśmy uczuli żywsze bicia serca w łonie i miewali sny wdzięczniejsze o ludziach i naturze—wydobywali sobie z pod naleciałości życia tutejszego swojskie jego obrazy.

Trzeba według wyrażenia naszego przymierzyć, aby wierzyć jako to smutek rodzi się w piersi człowieka, gdy błędną, zaciemniając mu się zwolna obrazy tego co drogie, co ukochane, a jednak pod nieubłaganą siłą czasu znikające jak fata morgana.

Jestto jak gdyby wygnanie z raju przeszłości, a wyraz ten, który mi się nasunął pod pióro, potrafił o toczące się tu dyskusye, że ów raj ziemski gdzie matka Ewa sięgnęła nieszczęśliwie po jabłko dobrego i złego, nie znajdował się w Azji, jak dotąd mniemali badacze przeszłości, ale u bieguna północnego, bo był to pierwszy punkt na ziemi o tyle już ochłodły, aby mogła się tu krzewić roślinność, aby mogły żyć zwierzęta, mógł żyć człowiek. Zatem w tej pierwszej epoce istnienia ziemi doliny Azji nie przedstawiały warunków zamieszkiwania tam człowieka i jedynie pod biegunem południowym panowała temperatura, jaką obecnie zowiemy latem.

Z czasów tych, których wiek nie daje się obliczyć dokładnie, istnieje tu ciekawy okaz, badany przez przyrodników: drzewo rosnące w pobliżu miasta Bristol na gruntach wsi Torwosth. Pień jego jest gruby na pięćdziesiąt stóp obwodu, a wysoki na stóp dziesięć do punktu, w którym rozdziela się na trzy potężne gałęzie, trzymające prawie trzydzieści stóp wysokości, przyrodnicy którzy badali tego olbrzyma roślinnego dają mu przypuszczalnie 1,000 lat istnienia i osnuwa go też nieobliczona ilość legend sięgających do Adama i Ewy.

Czy jest taki drugi okaz roślinny z nieznaney człowiekowi przeszłości? pytają uczeni, a odpowiedź może się odnajdzie w tych czasach w skutek odbytego w sierpniu międzynarodowego zjazdu geografów. Prezes Towarzystwa, Klemens Mark, miał zgromadzonych w koło siebie 1,500 deputatów, znających niemal wszystkie okolice ziemi, a był między niemi turek, Sletin pasza, niegdyś towarzysz podróży Gordona, John Kurk uczony badacz Afryki, kapitan Lugard, lecz wyliczyć wszystkich tych pionierów wiedzy o globie naszym jest rzeczą trudną. Zbiory map i sprawozdań, instrumentów do mierzenia ziemi używanych w XIV wieku, wszystko to było niewypowiedzianie ciekawą rzeczą, przecież największy interes budziły wyprawy do bieguna północnego a wśród nich wyprawa Nansena, norwegezyka, która przebyła w okolicach podbiegunowych trzy lata i dwie zimy. Niepokój o losy odważnego badacza sprawił, iż wyprawa druga, wysłana kosztem Jaksona Harmworth, puściła się, aby go odszukać, lecz nietylko znać o nim nie dała, ale i o sobie.

Trzecia pod dowództwem porucznika Peary już od lat trzech opływa północne wybrzeża Greenlandyi, a w miarę tych coraz nowych przedsięwzięć badania kuli ziemskiej, mnoży się liczba ludzi śmiałych, którzy pragną wydrzeć naturze jej tajemnice. Jest ich tyle i w głębi piersi człowieka, ale te trudniejsze są do zbadania i pytamy się nieraz sami siebie, co nas przywiązuje do jednych ludzi, co od

drugich odpycha, na to przecież trzeba sobie przyłożyć rękę do serca i słuchać jego uderzeń. Ciepło, które się tam znajduje, jest magnesem wiążącym ludzi i na tem opiera się miłość, z tego rodzi się nam w piersi przyjaźń — uczucie, które łączy nas ze sobą sympatycznie. Jeden z wyższych tu literatów, redaktor miesięcznika *Edinburg Review*, zmarły właśnie w tym czasie, do ostatniej chwili życia nosił w sercu uczucie tliwego przywiązania do Zygmunta Krasińskiego, z którym się poznał w Genewie, a czując że odejdzie wkrótce na odpoczynek wiekuisty, złożył w 1893 r., posiadane jego listy w ręce ordynata Krasińskiego, aby zachowane były w zbiorach rodzinnych.

Henryk.

Towarzystwo wzajemnej pomocy

pracowników handlowych i przemysłowych miasta Warszawy.

Towarzystwo powyższe obchodziło w roku zeszłym dziesięciolecie swego istnienia, a utworzone zostało z delegacji subiektów handlowych istniejącej niegdyś przy Urzędzie starszych zgromadzenia kupców. W chwili obecnej liczy ono ogółem około 1700 członków, z których jedną setkę stanowią kobiety.

Dla czego tylko jedną setkę, nie pełną nawet, jestto godnem zastanowienia.

W handlach przecież widzimy tyle przynajmniej kobiet ile mężczyzn.

Czyżby nasze pracownice handlowe były tak mało towarzyskie, zadowolone, czy też tak oszczędne, że nie chcą wydać drobnej kwoty 50 kopiejek, jaką wynosi miesięczna opłata każdego z członków rzeczywistych? Wydatek ten jednakże opłaca się sownie, bowiem, Towarzystwo zapewnia członkom swoim: w razie choroby, doktora i lekarstwo zupełnie bezpłatnie, udziela zapomogi czyli wsparcia potrzebującym tego, daje pożyczki na spłaty częściowe, pośredniczy w wyszukiwaniu zajęć, oraz, co jest rzeczą nie małej wagi, jako czynnik towarzyski, w obec dzisiejszych trudnych warunków ekonomicznych i wymagań wygórowanych tak, że nawet zamożniejsze domy prywatne ograniczają liczbę przyjęć u siebie, dozwala zbierać się członkom w lokalu swoim gdzie mogą przystąpić do czytelnego, zaopatrzonej we wszystkie prawie czasopisma miejscowe, od czasu do czasu urządza skromne wieczory tańcujące, koncerty, wycieczki zamiejskie w czasie lata, — jednym słowem — daje szerokie ujęcie towarzyskim popędom człowieka.

Wprawdzie kobiety nie mają prawa głosu na ogólnych zebraniach, lecz niezapominajmy, że Towarzystwo tworzyli mężczyźni dla mężczyzn, i że raz zatwierdzoną przez Rząd ustawę, zmienić nie łatwo. Zarząd przeto uczynił bardzo wiele, utworzywszy w roku 1894 tak zwany „Wydział pracowników handlowych“, oraz zgodziwszy się, aby jeden dzień w tygodniu poświęcony był na zebranie kobiece.

Wydział pracownic ma obowiązek współdziałać z innymi wydziałami zarządu przy zbieraniu informacji o kobietach zapisujących się do Towarzystwa, żądających zapomóg, pożyczek, lub poszukujących zajęć. Zaś przewodniczący wydziału, wszelkie żądania i wnioski pracownice przedstawia do rozpatrzenia na ogólnym zebraniu.

Obecnie z inicjatywy p. Golińskiej i dzięki jej gorliwemu zakrzętnięciu się, stowarzyszone mają możliwość przejścia kursu buchalterii i rachunkowości kupieckiej. Wykłady odbywają się dwa razy tygodniowo, w godzinach wieczornych.

Mamy tedy swój wydział, swego przewodniczącego, który popiera interesy kobiet na ogólnych zebraniach, i zarazem broni je przeciw niechęci niektórych, mniej rycerskich kolegów — „jour fixe’y“ na których możemy — gawędzić z panami lub, — „obywać się bez panów“ jeśli nam się

to spodoba, — bez wątpienia mamy już wiele, i dziś żądać więcej nie mamy prawa, zważywszy iż stanowimy zaledwie siedemnastą część ogólną liczbę członków.

Gdyby jednak kobiety pracujące w handlach chciały pamiętać o tem że: „połączenie sił słabych wytwarza potęgę“ i maksymę tę stwierdziły licznym zapisywaniem się do „Towarzystwa“, niema wątpliwości, iż w krótkim czasie, niekorzystne dla nas zastrzeżenia w ustawie dałyby się zmienić na lepsze.

Niestety jednakże, znając zabobonny konserwatyzm ogółu naszych kobiet, słabą zaledwie mieć można co do tego nadzieję.

Nie bądźmy jednakże pesymistami.

Pracownica handlowa.

Kronika działalności kobiecej.

— Donoszą z Petersburga, iż z okoliczności rocznicy siedemdziesiąt pięciu lat założenia Towarzystwa popierania sztuki, księżna Eugenia Maksymilianowna Oldenburska, zajmująca stanowisko prezesa cesarskiego Towarzystwa popierania sztuki, otrzymała najwyższy reskrypt winający jej tej godności i uroczystości, która jest wyrazem uznania jej.

— Warszawa posiada kilka szkół malarstwa dla kobiet, przecież działalność ich nie jest dostatecznie znana publiczności z powodu, że nie wszyscy nauczyciele urządzają wystawy szkolne. Podniesiono też myśl, aby wszyscy przełożeni szkół malarstwa zorganizowali w końcu roku wystawę ogólną, dającą możność porównania postępu kształcących się tam kobiet pod rozmaitemi kierunkami.

— Na wystawie szkiców w Salonie artystycznym, mieszczącym się na Nowym-Swiecie, przybyły dwa dzieła pendzla kobiecego. Zofii Stankiewiczowej „Chata nad wodą“, Aliny Korabiewiczówny „Wiesniaczka“. Między sprzedaniem i mieści się wymieniony powyżej szkic Stankiewiczówny.

— *Ogrodnik Polski* umieścił wśród uwag nad niedawną wystawą Towarzystwa ogrodniczego braki i wady wiejskich ogrodów naszych, wykazanych przez M. Karczewską. Jestto przecież ważna gałąź pracy kobiet tak pod względem upiększenia, umielenia sobie i rodzinie życia, jak i przysparzania dochodu. Wiemy wszyscy że sprowadzana jest do nas znaczna liczba owoców z zagranicy i to takich, jakie dać nam mogą sady nasze, jeżeli będą pielęgnowane starannie a zarazem jeżeli ich właścicielki będą chodowały umiejętnie odmiany szlachetne.

— Miesięczne posiedzenie komitetu pań przy Warszawskim Towarzystwie opieki nad zwierzętami odbyło się w lokalu Towarzystwa (Zielna Nr. 19) Towarzystwo to ma niemałego znaczenia zasługi przez oddziaływanie tak na lud prosty, jak i na dzieci klas wszelkich, budząc w sercach szlachetne uczucie miłosierdzia nad wszystkim co cierpi, więc nie dopuszczając rozwinięcia się w człowieku dzikiego okrucieństwa, które czyni go złą istotą.

— W d. 12 stycznia sto pięćdziesięciolecie rocznica urodzenia się człowieka wielkiej zasługi dla ludzkości, Jana Henryka Pestalozzi, reformatora pojęć o wychowaniu, obchodzono była bardzo uroczystość w rodzinnym jego kraju, Szwajcarii w Zurychu. Lecz obok tego złożony został pamięci jego matki hołd niemniejszy. Wdowa wychowała syna nie tylko bardzo rozumnie, ale i bardzo szlachetnie, rozbudzając mu w sercu przymioty cnót obywatelskich i rodzinnych, a owocem tego było, że stał się człowiekiem wielkiej zasługi dla społeczeństwa swego i dla ludzkości, któremu wyryto też na nagrobku napis taki: „Opiekun ubogich, kaznodzieja swego narodu, ojciec sierot, założyciel nowej szkoły ludowej, wychowawca szlachetnej ludzkości i człowiek chrześcijanin, obywatel.“ Kobiety wszystkich kantonów zbierają też obecnie między sobą składki, aby matce tej, która dała Szwajcarii takiego człowieka, wzniesić pomnik ze statua jej i podpisem

„Rodzicielka i wychowawczyni zasłużonego kraju i świata syna.“

— Po za konkursem malarskim, urządzonym w Krakowie, wystawiono obraz dużych rozmiarów p. Kazanowskiej „W ogródku warzywnym“, przedstawiający kobiety zajęte robotą wśród stosu buraków, dyni i innych warzyw, zyskał ogólne uznanie, bo tak krajobraz jak i postacie na tle jego umieszczone, pociągają do siebie wzrok wdziękiem układu i harmonią barw.

— W sprawie dopuszczenia kobiet do słuchania studiów uniwersyteckich w Węgrzech, wydany został przez ministra oświecenia reskrypt, zawiadamiający, że wolno im jest słuchać wykładów nauk lekarskich, farmaceutycznych i filozoficznych, oraz składać z nich egzaminy i otrzymywać dyplomy lekarek chorób kobiecych.

— Donoszą z Drezn, iż dwie szlachetne panie: Lesena Schultz już zamężna i Matylda Maahsen młoda panna, ułożyły na pismo wypukłe dla niewidomych dzieło Gustawa Freitaga „Soll und Haben“, nad czem pracowały lat siedem.

— Związek kobiet niemieckich w Berlinie „Frauenwohl“ postanowił utworzyć bibliotekę, złożoną z dzieł traktujących o kwestyi pracy i zadań kobiety wśród społeczeństwa, w skutek czego wygłoszona została prośba o nadsyłanie o ile można dzieł z tego zakresu, zwłaszcza dawniejszych, których już znaleźć nie można w księgarniach, lub też powiadamiać o nich zarząd związku.

— Panie składające w Berlinie związek organizowania i pielęgnowania tanich kuchni, wytworzony w 1866 r., postanowiły od początku bieżącego roku rozsyłać robotnikom pracującym w fabrykach obiady w wagonach ogrzewanych, obok tego każdy z pośród otrzymujących je dostaje zarazem lampkę, na której przygrzać sobie może strawę otrzymaną. W ten sposób kilkaset tanich obiadów jest w tym mieście wydawanych robotnikom fabrycznym.

— W Niemczech liczba kobiet przewyższa bardzo znacznie, bo o 1,000,000 osób liczbę mężczyzn, kobiety tamtejsze zwoływały też do Berlina wiec niewieści w celu naradzenia się co do możliwych zarobków kobiety w gałęziach dotychczas mało im przystępnych. Szukając wzorów za granicą wskazano że w Holandyi kobiety oddają się chemii, przecież wśród dyskusji nie ujawniło się wiele nowych dróg pracy kobiecej i ostatecznie przyznano, że najobfitszym tu źródłem może być jedynie przemysł domowy, który by nie dopuszczał o ile można wyrobów fabrycznych. Kwestya ta jest w Niemczech jakoby na wokandzie bieżącej chwili.

— W Paryżu odbyła się uroczystość poświęcenia gmachu muzealnego, który księżna Galliera ofiarowała gminie miasta, a który oszacowanym jest na siedem milionów franków. Samo terytorium przedstawia już trzy miliony wartości. Początkowo pani ta miała pomieścić tam bogate swe zbiory sztuki, ale następnie zmieniła postanowienie z powodu głosów całych Włoch, że nie należy jej tego czynić, co byłoby krzywdą dla rodzinnego kraju, więc podarowała je rodzinnemu swemu miastu, Genui. To przecież, co dostało się Paryżowi, przedstawia dar wspaniały i municypalność zamierza urządzić w pysznym tym gmachu wystawę artystyczną.

— Królowa Wiktoria angielska opatrzyła szpital londyński znaczną ilością bielizny, którą pod przewodnictwem księżny Walii szyły panie z wyższych sfer towarzyskich. W skutek tego zawiązały się między kobietami angielskimi wspólne rozgałęzienie na kraj cały, dostarczające tu materiału lub pieniędzy na zakupienia go, a zarazem młode dziewczątka urządziły między sobą kasy oszczędności, które by przychodziły wspólnie z pomocą grosza i zarazem pracą własną. Panny z rodzin najwyższej arystokracji szyją grube koszule, które mają odziewać biedaków i jest to rzecz bardzo doniosłego znaczenia moralnego.

— Miss Alcock, autorka irlandzka, używająca sławy wyższego talentu, miewać będzie w Dublinie w sali posiedzeń Towarzystwa młodych chrześcijanek odczyty treści wykazującej, jakim być powinien stosunek życia powszedniego do religijnych pojęć i uczuć naszych.

— M-rs Darwin napisała i wydała w *National Review*, obszerny artykuł „Domowe gospodarstwo kobiety“, w którym żąda od naczelniczki domu, aby skreśliła sobie plan układu życia, tak moralny jak

i materyalny, odpowiadający jej przekonaniom i razem środkiem posiadanym. Inaczej mogą się tu zakradać wydatki nadmierne, może się skrzywić obrany kierunek życia, grożąc szczęściu i moralnej godności naszej.

Z bieżącej chwili.

— Według dzienników petersburskich istnieje projekt załatwienia w radzie państwa sprawy lokalnych organów ministerstwa rolnictwa w sposób taki, aby od d. 13 lipca organy te już działały.

— Z Władywostoku telegrafują do dzienników petersburskich, iż rząd japoński zaoferował wojennym okrętom ruskim swobodny postój we wszystkich portach swoich bez ograniczenia liczby tych okrętów. Propozycja ta została uczynioną niewątpliwie w celu odciągnięcia Rosji od zamiaru nabycia portu na półwyspie Kōrei.

— Rodzina zmarłego Henryka Natansona przeznaczyła dla uczczenia jego pamięci 15,000 rs. na cele dobra ogólnego, przesyłając je Warszawskiemu Tow. Dobroczynności z zamiarem: 1,000 rs., na czytelnie bezpłatne a 500 do uznania zarządu Towarzystwa; na rzecz Towarzystwa przeciwzembracze- go 1,000 rs., na rzecz Biura informacyjnego o nędzy wyjątkowej 1,000 rs., na rzecz Towarzystwa opieki nad ubogimi matkami 500 rs., na Schronienie nauczycielek 500 rs., na rzecz Kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego 3,000 rs., do dyspozycji zarządu warszawskiej gminy starozakonnej na cele dobroczynne i gminne 3,000 rs., na rzecz synagogi na Tłomackiem 1,500 rs., na rzecz warsztatów rzemieślniczych warszawskiej gminy starozakonnych przy ul. Ślizkiej 1,000 rs., na rzecz Domu Schronienia sierot i starców starozakonnych 500 rs., na rzecz Kasy pomocy wdów i sierot przy stowarzyszeniu subiektów handlowych wyznania mojżeszowego 500 rs., na rzecz ochrony XIV Tow. Dobroczynności 500 rs., na rzecz ochrony XX Towarzystwa dobroczynności 250 rs., na rzecz ochrony XXIV Tow. Dobroczynności 250 rs.

— Pod prezydencją księdza Zygmunta Chełmickiego, wice-prezesa Towarzystwa przeciwzembracze- go, odbyło się posiedzenie miesięczne komitetu nadzorcze- go. Towarzystwo powstało w d. 1-go maja zeszłego roku i sesja zajęła się przygotowaniem do sprawozdania z dopełnionych spraw Towarzystwa, które będą rozbiegane szczegółowo i dokładnie na zebraniu walnem w miesiącu marcu. Ułożeniem sprawozdania zajmie się ksiądz Chełmicki, wice-prezes Towarzystwa, oraz p. p. D-r Bepni, Adam Popławski, Antoni Pułjanowski. Sprawozdanie to przedstawi dokładnie obraz czynności Towarzystwa. Komitet zaprosił na opiekunki taniej kuchni, mieszczącej się na placu Grzybowskim, pań dwie. Maryą Julianową Fuchsową i Emilję Józefową Hordliczkową.

— Zarząd War. Muzeum rzemiosł ogłasza, że wystawa stylowych umeblowań zostanie otwartą w drugiej połowie maja; odzywają się przeciw gło- sy żądające, aby odwołano ją do jesieni, co dało by czas dłuższy do przygotowania okazów wystawowych.

— Wystawa etnograficzna umieszczona została na Nowym-Swiecie w lokalu odpowiednio obszer- nym, gdzie też okazy wystawy zostały rozdzielone i uporządkowane systematycznie w czterech komna- tach, z których pierwsza mieści przeważnie cerami- kę, a sufit jest zawieszony „pająkami” włościań-

skimi. W drugiej pomieszczono instrumenta wło- ściańskie ubiory i narzędzia rozmaite, przeważnie nasze; trzecia mieści zbiory azyatyckie (Japonia, Chiny, Syberja) oraz australskie, a są to narzędzia rozmaite, broń i ozdoby, w czwartej zbiory afrykań- skie Leopolda Janikowskiego. W dniach ostatnich p. Szlezingerówna przysłała z okolic Lwowa wyro- by przemysłu włościańskiego, a p. L. Lisowski ubiory głowy wieśniaczek z powiatu kaliskiego, zwa- ne kapkami.

— S. p. Orzechowski zapisując na rzecz War. Towarzystwa dobroczynności sumę znaczną, zobowiązał tę instytucję, aby z funduszu przeznaczonych jej, wzniesionym został Jędrzejowi Śniadeckiemu pomnik na cmentarzu w Jaszunach. W skutek tego zobowiązania zarząd War. Towarzystwa Do- broczynności ustanowił komisję złożoną z wice-pre- zesa hr. Ronikera i członków zarządu p. p. Matya- sa Bersohna, Schellera i D-r Wszębora, której po- wierzono wypracowanie szczegółowe projektu tego pomnika.

— Wystawa dzieł konkursu rzeźbiarskiego, któ- ra urządzoną zostanie w prawym kompartymencie Tow. Sztuk Pięknych, dobrze wroży o sobie. W Sa- lonie Artystycznym rozpoczęło się już wydawanie premii za r. 1895 posiadaczom rocznych biletów wejścia. Premia ta składa się z obrazów olejnych i akwarelowych, rysunków, szkiców, dzieł rzeźby i przedmiotów sztuki stosowanej do przemysłu.

— Znany miastu naszemu nie tylko z pism jego literat, Zacharyasiewicz, otrzymał w d. 9 bieżącego miesiąca akt uznania jego zasług w piśmiennictwie. Do przebywającego u krwonych w Krzywezy nad Sa- nem przybyła deputacja rady miejskiej z Radymna, gdzie stale zamieszkuje, dla wręczenia mu w celu uczczenia literackiego jego jubileuszu, dyplomu na obywatelstwo honorowe wymienionego miasta. Dy- plom ten przedstawia dużą księgę, oprawioną w czerwony aksamit, o norożnikach złotych emalio- wanych, z monogramem jubilata na tarczy złotej, umieszczonej w środku okładki. Zawierające się wewnątrz pismo, arcydzieło sztuki kaligraficznej, jak się wyrażają dzienniki miejscowe, przedstawiało te wyrazy: „Oczigodny Panie! deputacja miasta Ra- dymna pragnąc uczcić znakomite zasługi twoje dla dobra powszechnego — oddać hołd świetnemu pi- sarzowi, który utworami swego pióra nie tylko kształci umysły, ale podnosi serca, zapełnia je uniłowaniem wszystkiego, co dobre, wzniosłe i szlachetne, posta- nowiła jednomyślną uchwałą w d. 13 czerwca obda- rzyć Cię tem, co posiada najlepszego i zanomino- wała Cię obywatelem honorowym rodzinnego Twe- go miasta. W myśl tej uchwały, ku czci twojej a zaszczytowi Radymna wystawia akt niniejszy opatrzone podpisami jej zastępców.”

— Konkurs artystyczny Towarzystwa sztuk pię- knych w Krakowie nie odpowiedział oczekiwaniu, bo nie wzbudził odpowiedniego zajęcia w publicz- ności i wywołał głosy pytające, czy warto jest tu urządzać konkursy?

— Spór z Węgry o Morskie Oko nie złago- dniał i trudności załatwienia go mnożą się coraz więcej, obiega też pogłoska, że Ojciec S-ty będzie proszony na superarbitra. W każdym razie rzecz się nie rozwiąże ani łatwo, ani prędko, hr. Badeni korzystając z bytności ministrów węgierskich w Wiedniu odbywał z nimi długie konferen- cy w skutek których postanowiono oddać sprawę pod sąd polubowny, złożony z członków austriackiego sądu najwyższego, oraz z członków królewskiej kurii węgierskiej, którzy by obrali superarbitra.

— Na posiedzeniu sejmiku lwowskiego rozpatry- wana była sprawa emigracji do Brazylii i różnicy jej od wszelkich innych, bo gdy tamte są natury i przemijającej, czysto zarobkowej, emigracja do Brazylii jest jakoby stałym wysiedlaniem się ludno- ści. Główną przyczyną jest tu niedostatek w poła-

czeniu z brakiem oświaty, z brakiem szkół i do pe- wnego stopnia z przełudnieniem. Klęski elementar- ne, podniesienie podatku gruntowego i rozmaite ciężary popychają ludność do szukania sobie przy- chylniejszych życia warunków. Poseł Wachnianin wymienił długi szereg zmian potrzebnych, spra- wiedliwie obliczoną reformę podatków i innych cię- żarów.

M Y Ś L I

— Fałszywy wstyd rodzi tysiące nieszczęść i ty- siące przestępstw.

For.

— Sumienie ludzkie jest elastyczne. Samolub- łątowo się rozgrzesza z tego, co ludziom złego wy- rzadził i tylko ten, który bliźnich swych, kocha, jest zdolnym wyrzucać to sobie, że nie umiał być dla nich zawsze bratem przywiązany i sprawiedliwym.

Bulwer.

— Historia życia człowieka to tło jego chara- kteru.

Goethe.

— Ocena charakteru człowieka jest to, w jaki sposób prowadzi interesa swe osobiste i jak rządzi- namiętnościami. Niewiele jest ludzi, umiejących sprawiedliwie postępować w sprawach, które ich wręcz dotyczą; trudno im jest sądzić bezinteresow- nie tych, z którymi mają zatarg jakiś.

Macouley.

— Mężna siła woli bez wielkoduszności wyrabia- złych, zaciętych ludzi.

Weber.

— Twardą i niewzruszoną zaciętą może być eno- ta, ale nigdy nie będzie okrutną i niemiłosierną.

Schiller.

— Miłość bliźniego jest jak ta czysta i ożywcza woda, która użyźnia grunt życia i rozlewa swe tonie w nizinach. Oszkłem zostawia jedynie te twarde skały, które rzucają na ziemię tylko cień po- nury.

Lessing.

— Energia to najpierwsza i najwyższa cnota człowieka. Bez energii nie zdaliśmy nie samoistnie uczynić, więc właściwie nie dajemy nie ludzkości.

Lenau.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu” dołącza się: powieść **Czy to miłość?** przez Franka Frankfort Moore’a. Przekład z angielskiego, t. II, ark. 3.

TREŚĆ: Powiedz mi!..., przez Jadwigę z Ż. S.—Florecya Niehtingale, przez M. I.—Kedy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg).—**Ruch muzyczny**, przez Adama Dobrowolskiego.—**List z Anglii**, przez Henryka.—**Towarzystwo wzajemnej pomocy**.—**Kronika działalności kobiecej**.—**Z bieżącej chwili**.—**Myśli**

Dodatek obejmuje: **Czy to miłość?** powieść przez Franka Frankfort Moore’a przekład z angielskiego tomu II-go, ark. 3. Przegląd mód. 18 wzorów i robót z opisem.—**Sekrety gospodarskie**.—**Dyspozycja stołu**.